

# Jan Błoński

---

## Krytyk w dolinie Jozafata

---

Teksty : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 4 (52), 1-3

---

1980

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Komitet  
Nauk  
o  
Literaturze Polskiej  
i  
Instytut  
Badań  
Literackich PAN

dwumiesięcznik 4 (52), 1980

# teksty teksty teksty

TEORIA LITERATURY • KRYTYKA • INTERPRETACJA

## Krytyk w dolinie Jozafata

*Jak rzadko odwiedzamy umarłych, tak nie-  
często zaglądamy do fotografii, śpiących na dnie rodzinnych szuflad.  
A czymże jest to dzisiejsze pytanie — o wizerunek czytelnika —  
jeśli nie zachętą do obejrzenia albumu przeszłości? Zdumiewająco  
wiele twarzy przechowuje album krytyka — i album redaktora. Ale  
nie są to może te twarze, których właściciele spodziewają się pa-  
mięci... Przyznam szczerze, że sprawia mi trudność zobaczenie —  
a tym bardziej opisanie — własnego czytelnika. Niech za dowód  
posłuży tu przynajmniej, że z niechęcią piszę prace wyraźnie adre-  
sowane, jak podręczniki, hasła encyklopedyczne, wprowadzenia,  
przeglądy... Ściśle mówiąc, nie piszę ich prawie nigdy, chyba przy-  
ciśnięty koniecznością. Może by więc najpierw — na przykładzie —  
uściślić, co przez «czytelnika» rozumieć.*

*A zatem — kim jest czytelnik «Tekstów»? Ach, «Teksty» czyta na-  
wet kilkudziesięciu..., nie, raczej kilkunastu profesorów, nie całkiem  
jeszcze zagonionych czy zadufanych w sobie. Czytają czasem uczeni  
innych dyscyplin, zaciekawieni, co słyhać u sąsiadów, ale pod wa-  
runkiem, aby sąsiedzi mówili krótko i możliwie zabawnie. Czyta  
cała gromada dyletantów, entuzjastów, dziwaków, miłośników wie-  
dzy czystej, z której nic im nigdy nie przyjdzie i którą kochają mi-  
łością naprawdę bezinteresowną. Opisać ich jednak nie można, bo  
każdy kim innym... Jednak wzorcowego czytelnika «Tekstów» moż-  
na opisać nawet bez kwestionariusza. Płeć: nieznamienna dla opisy-  
wanego obiektu. Wiek: od dwudziestu paru do czterdziestu lat.  
Wykształcenie: doktorat był, jest, będzie realną albo urojoną możli-*

wością. Charakter: nieco wyższa niż przeciętna skłonność do nerwic. Stosunek do miejsca pracy: ach, nie ma nawet o czym mówić. Założenia badawcze: literaturoznawstwo upodabnia się stopniowo do nauk ścisłych, ale nie ma nic bliższego fizyce niż poezja, oczywiście liryczna. Najczęstszy koszmar: nie spóźnić się na pociąg. Ale przecież takie — lub analogiczne — cechy można zwykle znaleźć u «młodych obiecujących», w jakiegokolwiek by pracowali dziedzinie. Dajmy więc pokój żartom.

Tym bardziej, że nic mnie ten «młody obiecujący» nie obchodzi. Nie chcę go uczyć, nie chcę mu pochlebiać, nawet boję się go umiarkowanie, bo pewnie umrę, zanim zdąży mi naprawdę dopiec. A poza tym zimny on jakiś, łamliwy, filmowy, nieprawdziwy. Może wcale nie istnieje? Oczywiście, że nie: toż to ożywiona wiązka cech, właściwych społecznej roli młodego naukowca Anno Domini 1980! Dajcie mu tylko dzinsy, fajkę, małego fiata i wejdzie doskonale w plan! Nie mam mu nic do powiedzenia. Rozmawiać mogę tylko z żywymi, a to trup, schemat, drewniane prawidło! Czytelnik pisma (jako składnik życia naukowego czy literackiego) bytuje więc inaczej od mojego czytelnika. Tamten ma miejsce i funkcję społeczną. Spłodziły go dwie instytucje, literatura i nauka. Akuszerem był socjolog, duszę wprawiał profesor Szczepański (Jan). Mój czytelnik ma kolor oczu, jąka się, uśmiecha, tokuje jak najęty, gędzi albo gada złośliwości. Cóż stąd, że ciągle się zmienia. Raz pochrzakuje, kiwa palcem, sprawuje pieczę. Raz do samego siebie gada, cieszy włochatym ciałem, powtarza: «niebывале», «niestychane», «niewiarygodne». Ale przecie w tym jego egotyzmie jakoś jestem, tkwię w nim jak mucha w bursztynie, niewygodnie, ale trwale. Raz nie pozwala nakłonić się do przeczytania mego artykułu częściej niż co trzy lata. Raz zaś czyta wszystkie i tym bardziej niepokoi: bo jeśli on w ogóle wszystkich czyta?

Stąd wniosek, że moim adresatem byłaby grupa środowiskowa, czytelnik zaś, niczym magik, przybierałby rysy moich przyjaciół. Owszem, pamiętam profesorów, przed którymi chciałem się popisać, pisarzy, których pragnąłem «przejrzeć na wylot», kolegów do zaimponowania, cenzorów do wykiwania. Ale nie tylko. Wśród tej — niemależ już — ciżby trafiają się bowiem ludzie, których znałem słabo, wcale... lub których znać nie mogłem, jako że dawno umarli. Rzadko już uczeni, czasem krytycy, częściej pisarze. Ale nie tylko ci, o których pisałem... Raczej tacy, o których nigdy nie śmiałem napisać. Trafiały się także kobiety, które spotkałem lub których nie spotkałem nigdy, trafiały się postacie najzupełniej urojone,

najczęściej z epoki, która mnie najbardziej ciekawi, tej od zapowiedzi pierwszej do końca drugiej światowej. I nawet do takich zdarzało mi się mówić, którzy «ani żywi, ani zmarli», którzy pojawiliby się może wtedy, gdyby historia potoczyła się inaczej. A już nic nie powiem o Panu Bogu, przed którym paliłem świeczki tam, gdzie się nikt tych świeczek nie spodziewał: tylko On mógł je zobaczyć. Słowem, pisząc spacerowałem po dolinie Jozafata.

Pisze się dla: i to jest właśnie życie literackie (naukowe). Pisze się do: i to jest krytyka, literatura (może także część nauki?). Ale moi nader liczni rozmówcy — adresaci, czytelnicy idealni — tak rozmaici bywali i tak uwewnętrznieni, że nieraz sobie stawiałem pytanie, czy sam z sobą nie gadam? I czy prawdziwym adresatem mojej pisaniny nie jestem ja sam, ja z młodości, mój sobowtór? Pocięszam się, że nie. Ale, jak w wierszu Heinego i pieśni Schuberta, sobowtór wraca nocą pod dom ukochanej (tu: literatury) i rozpaczając szydzi.

**Jan Błoński**